

Mały Marek zgodnie z dyspozycją Ryszarduchny poleciał rano do Delhi. Liniami Aeroflot z dużą kamerą video, małą elektroniką, butelką whisky i kilkoma sztabkami w butach. Leciał z oryginalną wizą indyjską w szwajcarskim paszporcie o danych, które wiekiem, kolorem oczu i wzrostem z grubsza odpowiadały jego danym. Oryginalne zdjęcie z paszportu usunął Stachu Kredka, chłopak Izy. Za zrobienie tego paska oboje dostali pracę w firmie Ryszarduchny. Stachu Kredka, odkrywszy w sobie zdolności manualno-plastyczne, starannie wkleił do szwajcara przyciętą fotografię Małego Marka i wykałaczką maczaną w tuszu ręcznie domalował fragment okrągłej pieczętki brakujący w prawym dolnym rogu zdjęcia.

– To damski pasek! – parsknął jednak Mały Marek, oglądając przed startem jaskrawoczerwony certyfikat swojej tożsamości, wystawiony w Lozannie na nazwisko Rose Maria Zachanassian, opatrzony na okładce białym krzyżykiem jak negatyw czerwono-białej apteczki.

– Dzicy nie będą wiedzieć, że damski! – starał się go uspokoić Henio Druto.

– Jak to nie?! – zawołał Mały Marek. Palcem obmacał stronę ze swoimi personaliami. – Przecież jest Maria! – wskazał.

– Skoro był Erich Maria Remarque... – przekonywał Druto, bo ukończył w Polsce różne szkoły – i Karl Maria Weber, to może być i Rose Maria!

Mały Marek na damskim pasku wystartował do Delhi. Kółko zapowiadało się na bezpieczne. Deklaracja kamery to rutyna, elektroniczny szajs nie przekraczał dozwolonego limitu wwozu, a żeby celnik zajrzał białemu do butów, Mały Marek musiałby dać ku temu jakiś powód, choćby powłócząc nogami. Ale nie było mu dane dojść do celników. Zatrzymano go na linii immigration.

– To nie jest twój paszport! – usłyszał. – Ty nie jesteś Szwajcar!

Oficer sprawdzający dokument opuścił stanowisko odpraw, pomówił chwilę z kierownikiem zmiany. Obaj zabrali Małego Marka do pokoju służbowego. Nie kwestionowali jego imion i płci. Ich uwagę przykuł jedynie inny odcień tuszu pieczętki na zdjęciu

i inny na stronie. Oficerowie wezwali na linię odpraw białą dziewczynę pracującą dla linii Swissair. Dochodziła trzynasta, wszyscy pracowali na lotnisku w pełnym składzie. Kiedy starannie uczesana dziewczyna przybyła w zapiętej pod szyję białej krochmalonej bluzce, okazano jej przestraszonego Rosę Marię Zachanassiana. Nieco zmieszana obejrzała jego paszport.

– Dlaczego masz tak na imię? – spytała po angielsku.

– Tato mi dał... – odpowiedział Rose Maria. Angielski znał słabo i nie powiedział w tym języku nic więcej, czego dziewczyna nie wiedziała już od oficerów. Ci kazali dziewczynie porozmawiać z Rose Marią po szwajcarsku. Dziewczyna zwróciła się doń najpierw po niemiecku, potem po włosku. Rose Maria zrozumiał jeszcze mniej, ale patrzył na dziewczynę tak, jak jeszcze żaden mężczyzna na nią nie patrzył.

– Paszport wystawiono w Lozannie – powiedziała wtedy dziewczyna. – To kanton francuskojęzyczny. Ja nie znam francuskiego.

– Ale czy on mówi po szwajcarsku? – chcieli się dowiedzieć oficerowie.

– Jest z Lozanny. Może mówić... – potwierdziła dziewczyna ze Swissaira. Oficerowie podziękowali jej za pomoc i deportowali Rosę Marię Zachanassiana tym samym samolotem Aeroflotu, którym przyleciał. Po kilku godzinach, kiedy Rose Maria w ustalonym czasie nie odezwał się z Delhi, Ryszarduchna w Singapurze odchodził od zmysłów, obliczając w myślach, ile zajmie mu odrobienie straty. Późnym wieczorem jego ręczny telefon jednak zadzwonił.

– Halo? – zabrzmiało w słuchawce. – To ja, Mały Marek!

– Serce mi z kamienia spadło... – westchnął z ulgą szef. – Bałem się, że już po tobie. Co robiłeś tak długo?

– Jestem w Moskwie.

– Gdzie!? – nie uwierzył Ryszarduchna. – Co ty tam, kurwa, robisz?!

– Przyczepili mi się do paska w Delhi i deportowali do Moskwy... – Rose Maria pokrótce opisał historię swojej deportacji. – Co ja mam robić? Tu jest listopad. Wszędzie śnieg! Głupio wyglądam w tych krótkich spodenkach...